

Henryk Bułhak

część II z III

Sygnatura notacji: **N0123**

Data urodzenia: **01.01.1930 r.**

Data nagrania: **21.01.2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Michał Kurkiewicz**

Czas nagrania: **część I: 56 min, część II: 60 min, część III: 37 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryk Bułhak: Oni nas ulokowali w tej szkole, przyzwoity budynek, taka typowa wiejska szkoła, nie wiem, dwa pomieszczenia chyba jakieś takie, w jednym pomieszczeniu były zwalone jakieś tam ławki i tak dalej, no i kuchenka, i myśmy się tam znaleźli, znaczy nasza rodzina, nas było troje, to znaczy świętej pamięci babcia, mama i ja, była jeszcze z nami pani Kaczmarska z wnuczką Lalą, też taka starsza pani, która została wywieziona sama, i taka nasza powinowata, też staruszka już jak na tamte czasy, miała też ponad siedemdziesiąt lat, która była wywieziona jak palec. I teraz właśnie wracam do tej pani, przy której trochę dłużej zatrzymam się, mianowicie przychodzą enkawudziści, a pani Helena Woronowiczowa, bo tak się nazywała, mieszkała razem z córką i z zięciem. I córki i zięcia zostawiają, a tę starszą panią po siedemdziesiątce wywożą. I ta córka mówi do nich: „Mamo, to będą tylko godziny. Bo już lada chwila wybuchnie wojna i mama rozumie”. I ona wyprawia tę mamę z maleńkim neseserkiem, w którym jest talerzyk, kubeczek, serwetka i tak dalej, lekki letni płaszcz i jaseczek maleńki pod główkę. I wyprawia mamę, że tak powiem, która się przejeżdża na Syberię. Więc jak teraz porówna się to, cośmy my dzięki temu enkawudziście zabrali, i między tą niesamowitą sytuacją, w której przeważała ta wiara, przekonanie tej córki, że to lada chwila Niemcy uderzą i wszystko w porządku, i ta mama wróci. I w ten sposób matka wyprawiła na pięć lat na Syberię, do krasnojarskiego kraju. Nawiasem mówiąc, muszę dodać, że ta sama właśnie pani, pani Wanda Cieślewiczowa, i jej mąż, i jej mąż, byli w AK, w tym nowogródzkim, mąż dostał karę śmierci, zamieniono na dziesięć lat łagrow i wrócił w 1955 roku to chwata Bogu, do kraju, do Kwidzyna, bo oni tam się osiedlili, w Kwidzynie, no i chwata Bogu. A myśmy też dzięki Bogu właśnie wrócili z tą panią Wornowiczową, którą byśmy po prostu przygarnęli. Ona by po prostu nie dała tam rady sama przeżyć, nie będąc już w stanie ani pracować, ani nic, fizycznie i tak dalej. Ale takie wypadki się właśnie zdarzały. I ten enkawudzista, który ją wywoził, zachowywał się bardzo brutalnie. Ona

zresztą wielokrotnie mówiła: [wypowiedź po rosyjsku, 00:03:56] No więc takie historyjki bywały. No ale w każdym razie to była ta... I później taka rodzina, cztery panie, to znaczy dziedziczka, bardzo znana na terenie Nowogródczyny, pani Zofia Wierzbowska, właścicielka ziemiska, z dwiema córkami, znaczy z panią Janiną J. Konarkiewiczową i z panią Marią Wiśtocką, która to pani, Maria Wiśtocka, była wdową po oficerze wojsk polskich, po majorze Wiśtockim z 26 Pułku Ułanów, a pani Janina była żoną kolegi mego ojca, bo wiceprezes, pan Henryk J. Konarkiewicz, był kierownikiem wydziału cywilnego Sądu Okręgowego w Nowogródku, którego sędzią był mój ojciec, tylko w wydziale karnym z kolei. Więc to już taka była nasza bliska znajomość i myśmy tam bardzo się też tak samo tam razem trzymali a ja jestem w bardzo serdecznych stosunkach, z córką pani Janiny, Mitką, historykiem sztuki. I to rodzina, która też poniosła okropne straty w czasie wojny. I my tutaj siedzimy w tym... I do nas przychodzą całe watahy młodzieży, tu i ówdzie czasem i dorosłych, którzy nas obserwują. Stoi na przykład sześć czy siedem osób, w całkowitym milczeniu, i patrzą na nas, co my robimy w ogóle. Że my tam coś robimy, coś tam się gotuje, coś tam się smaży, coś tam się... no jakaś rozmówka i tak dalej, milczenie przeważnie. Niektórzy, którzy są już zmęczeni, wymieniają się, bo wychodzą, znikają. Ktoś tam już przychodzi z pola, bo przecież trwa praca, przecież kołchoz pracuje, i znów przychodzą, i starsze też tak samo. Mężczyzn już prawie nie ma. Podkreślam, prawie nie ma, bo już zostali wygarnięci do wojska. Prawie nie ma. Ale zaraz to ktoś jest. I to jest szalenie krępujące, bo my właściwie, niektórzy wchodzą bliżej, niektórzy już tak wchodzą już na teren tej kuchenki, bo to tak z podwórza, niektórzy stoją na ganeczku takim, niektórzy w ogóle stoją na podwórzu, obserwują. I tak to trwało jakieś może, nie wiem, tydzień, dwa tygodnie, taka obserwacja, jakbyśmy byli, no nie wiem, w klatce jakiejś, dziwne takie stwory, które trzeba rozgryźć, zobaczyć, co oni w ogóle sobie są. No a poza tym matka tego, pani Janina, doskonale mówi po rosyjsku, więc zaczynają się tam jakieś rozmówki i tak dalej, ale ta ludność nas obserwuje dość tak milcząco. Ale na przykład tak samo taka była Fjewronia, która nas na przykład zaprosiła i bardzo życzliwie nam po tej naszej też kilkutygodniowej jeździe i tym siedzeniu, w tych barakach i tak dalej, które też tam trwało jakieś co najmniej z dziesięć dni może, może trochę mniej, zrobiła nam banię. Ja byłem pierwszy i ostatni raz w bani i muszę przyznać, że to było straszliwe przeżycie zupełnie. Bo tam się wchodziło... Znaczący ona chciała zrobić dobrą banię, to znaczy taką, że człowiekowi w ogóle zatykało płuca zupełnie. Ja pamiętam, jak oni tam zaczęli lać tam na te rozżarzone te cegły, nie cegły, tę wodę, i potworzyła się ta para, która rzeczywiście wydobywa wszystko z organizmu, że tak powiem, ze skóry i tak dalej, to ja myślałem, że ja się po prostu uduszę. Bo nie było czym oddychać. No i na tym się skończyły moje te kontakty z tą prawdziwą taką ruską banią. No więc tak, nasze panie dwie tylko poszły do pracy, pani Janina, jako głowa jakby rodziny, bo pani Wierzbowska też była starszą panią, 70-paroletnią, bardzo zresztą kulturalna pani, rozumiała doskonale francuski, typowa taka ziemianka, no i nie bardzo przyczajona do jakiegokolwiek roboty takiej bardziej, że tak powiem, codziennej. No i te panie nasze zaczęły tam chodzić, i okazał się taki wyjątkowo wredny był ten prezydent Balaszow. Chamowaty, prezydent kołchoza, a myśmy z kolei w naszej wsi, Nowojelinka, był kołchoz imienia Czkałowa, tego znakomitego lotnika, imienia Czkałowa, i jednocześnie tutaj była [niezrozumiałe, 00:09:06], czyli była gmina. Więc był również i prezydent tego Sowietu, taki Puszyn był. I ten Puszyn był przyzwoitszy, ale prawdopodobnie nie był partyjny, bo głównie ten, ten Bałaszow tutaj, że tak powiem, rejdował. Ten Puszyn był właśnie taki milczący i tak dalej, a Bałaszow zachowywał się w sposób wyjątkowo taki chamski, no normalnie. I nigdy nie zapomnę, jak... Bo ja pamiętam, jeszcze to było, myśmy mieszkali jeszcze w tej szkole, kiedy tak, pamiętam, taki piękny poranek, ktoś przychodzi z tych bab, znaczy tych już tam miejscowych, i mówi: „Bierut Bałaszowa w armiu”. I ogromna radość w całym kołchozie, że Bałaszow idzie do wojska. I pamiętam, jak oni mu życzyli szczerze, gorąco, żeby jego pierwsza kula

nie minęła. [wypowiedź po rosyjsku, 00:10:04]. I, cholera, zdaje się, że coś tam pamiętam, że ktoś, zdaje się... jakieś dotarli do nas wiadomości już później, że on chyba jednak, sukсын, wrócił. Ale jeżeli już wrócił, za naszych czasów, to musiał być ranny. Że coś mu tam musiało oberwać albo coś tam postrzelić, czy tam nogę, czy coś tam. No mniejsza z tym. Czort jego zabierz. I pracujemy, a ja jestem jedynym mężczyzną. Jedenaście lat, przenoszą nas w końcu do takiej opuszczonej chałupy, którą tam troszeczkę tak jakby przysposobili do mieszkania, gdzieś tam jakieś kury tam stały, coś takiego, lichy wie, co, na skraju zupełnie wsi, zaczyna się zaraz za nami taki zagajnik, z którego tam braliśmy i chrust, i drzewo, i dalej taka dróżka, która idzie w dół, i tam dopiero, na samym dole, jakieś może pół kilometra, już zaczyna się tajga. I ja muszę przyznać, że ja do tej tajgi dochodziłem i tam już, jak tylko się zbliżałem, to się robiło już tak straszawo, bo to był potężny drzewostan, od razu tam się robiło ciemno w tej tajdze, gęstwina ogromna i taka pewna wilgoć jakaś taka, wisząca. No i zresztą tam już mówiła, że ty już tam nie chodź, nie łaź, natomiast tutaj w tym zagajniku, to ja tam już działałem, rąbałem drzewo, ścinałem takie brzoźki młode, tam to suszyliśmy i tak dalej, i tak dalej. I cała ta zabawa trwała do momentu, kiedy fragment gazety, w której jest maleńka wzmianka, ja mam tę gazetę, mam to chyba w Elblągu, o porozumieniu między emigracyjnym rządem generała Sikorskiego a sowieckim [niezrozumiałe, 00:12:19]. Naturalnie jest ogromne poruszenie, zaczynamy dyskutować... Aha, znaczy ja jeszcze muszę dodać, że myśmy nie byli sami, jeszcze było kilka rodzin polskich, które mieszkaly tam, trochę wcześniej były od nas przywiezione, też chyba z naszego eszelonu, bo nasz eszelon objął trzy ośrodki, to znaczy Nowogródek, Baranowice i Słonim. Te trzy ośrodki. No i tam okolice najbliższe. Ale to były te trzy ośrodki. I ja dotarłem, znaczy pokazano mi kiedyś takie wydawnictwo, ja nie wiem, czy nawet tego wydawnictwa nie miał Daniel Boćkowski, gdzie jest tabela pociągów, w sensie eszelonów, transportów, które w 1941 roku szły na wschód. I jest w rubryce albo napisany Aczyńsk ze znakiem zapytania... było napisane: Nowogródek, czyli ja, krótko mówiąc, dotarłem do literatury przedmiotu, gdzie mimo wszystko nasz eszelon, nasz transport, jest uwidoczniony i jest zanotowany, ale widocznie autorzy tego wydawnictwa, gdzieś to ja tam mam zapisane, ale ja muszę do tego dotrzeć i zrobić jakieś ksero, bo to naprawdę jest ważne dla mnie, i tam widocznie oni nie dotarli do jakiejś informacji jeszcze, i tę informację ja już mogę z całą odpowiedzialnością uzupełnić, bo rzeczywiście tak było. Że dotarł... Bo tam bardzo ściśle są... Tam nasz jakiś Brześć, Kobryń. Myśmy na przykład później spotkali również, jeszcze na takiej stacji [niezrozumiałe, 00:14:22], też pamiętam, ja zresztą to później na mapie znalazłem, tę miejscowość, myśmy spotkali się znów ze eszelonem, ale tym razem to był eszelon: Brześć, Białystok i Kobryń. Ale jak zauważyłem, że tam jest Brześć, bo był jakiś napis „Brest”, to nawet widziałem ten wagon 44., z którym rozmawialiśmy w Orszy i z którego dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny. I też to była taka wielka radość, myśmy się jakoś tak... To spotkać się nagle na tych ogromnych przestrzeniach rosyjskich z tymi Polakami, którzy jadą, też tak trochę jakieś tam młodzieży się cisnęło do tych okien, jakoś tak usiłowaliśmy się wtedy oczywiście podtrzymać, no trzymajcie się, nie damy się i tak dalej, to są tak wzruszające momenty, że tu człowiek po prostu... i teraz ściska człowieka za gardło. No w takich momentach potrafią Polacy być na poziomie i rzeczywiście czasami wznosić się na wysokie rejony, odporności psychicznej i jakieś takiej odwagi. A to, co robiło na mnie wrażenie największe w czasie tej całej podróży, to jest ten ogrom. To jest ta przestrzeń, która z jednej strony jest przerażająca, bo człowiek czasami jedzie całymi godzinami pustką, która nie jest pustynią, ale to jest pustka. Idą jakieś takie drzewka, jakieś zagajniczki, jakieś ogromne łąki, właściwie zupełnie dziewicze, bez żadnych osiedli, bez żadnych miast, i nagle, po czterech-pięciu godzinach jazdy, tego pędu gdzieś tam do przodu, do przodu, do przodu, nagle pojawia się jakby jakaś oaza, stacja. Na przykład jak dziś pamiętam taką stację, też myśmy tam właśnie jechali po tym spotkaniu w [niezrozumiałe, 00:16:51], jechaliśmy też w jakimś tam kierunku, myśmy ciągle nie

bardzo orientowali się, gdzie nas wiozą, w pewnym momencie, dopiero chyba... Tak, ale to jeszcze tutaj skończę z tym. i też jedziemy, jedziemy, jedziemy i nagle zaczynają się pojawiać jakieś światła, światła, światła, te światła stają się coraz większe, coraz ich więcej, człowiek później wpada w stację, wjeżdżamy na stację, która jest właściwie takim bytem samoistnym. Bo trzeba wiedzieć, że tam kolej stanowi właściwie ten szkielet tego ogromnego państwa. To są te arterie, to są te główne tętnice, żyły, przez które płynie ta krew jakaś, ten obrót jakiś. Stacja, która jest jednocześnie skupiskiem jakichś osiedli, osiedli tych kolejarskich, nie kolejarskich, to jednocześnie jest jakiś ośrodek w pewnym sensie cywilizacji. Jest na przykład taka piosenka rosyjska, którą często się śpiewa, zresztą w różnych wersjach, [wypowiedź po rosyjsku, 00:18:21] Co to znaczy? Poszedł na stację się zabawić. To znaczy, że stacja jest takim miejscem, w którym się można bawić. Bo na stacji jest przeważnie bufet, na stacji jest możliwość wypicia alkoholu, na stacji jest możliwość pobicia się z kimś, jeżeli się człowiek spotka, i tak dalej. I już. Więc na przykład te stacje tam są rzeczywiście... przy bardzo kiepskim stanie dróg normalnych, znaczy dróg bitych tam, czy jak to tam nazwać, szosy i tak dalej. Więc ta jazda i to, co zresztą bardzo pięknie powiedział w tym swoim poemacie, znaczy nazwał ten poemat... Twardowski chyba napisał taki poemat „Za dalą dal”. I rzeczywiście, jak się jechało i widziało się ten bezmiar tej przestrzeni, to człowieka zatykało, zupełnie. A druga rzecz, też tak samo taka dla nas była bardzo... też taka, którą myśmy emocjonalnie przeżyli, to jak myśmy pod Kulbyszewem, czyli pod Saratowem, przejeżdżali przez Wołgę. Ten przejazd po tym moście trwał, ja nie wiem, chyba z pół godziny. I wtedy myśmy, pamiętam, wszyscy rzucili się, kto tylko mógł tam, przeciskaliśmy się w to okno, i ten majestat tej ogromnej rzeki też na nas robił ogromne wrażenie. I myśmy zaczęli śpiewać „Wołga, Wołga, mać radnaja”. Większość z nas oczywiście... starsze pokolenie doskonale znało, to jest tak już popularna rosyjska pieśń, której każdy, kto otarł się w ogóle o kulturę rosyjską, o szkołę i tak dalej, nie mógł nie znać. Ja to jak dziś pamiętam, bo ja widziałem te osoby starsze śpiewające w jakimś takim w pewnym sensie zachwycie, no bo to był jednak zachwyt. Majestat tej rzeki porażał nas, zesańców, porażał tą swoją wielkością. I taka właśnie jest Rosja.

Monika Kurkiewicz: A gdyby pan mógł wrócić teraz do tej wiadomości z prasy o pakcie Sikorski-Majski?

Henryk Bułhak: Już, właśnie zaraz będę o tym mówił. Nas od razu to zatkało oczywiście, no mamy rację, bo jednak coś tu się... To znaczy to stronnictwo prosowieckie, nazwijmy to, w cudzysłowie oczywiście ogromnym, ma rację. Jeżeli rzeczywiście tutaj jest jakieś porozumienie, to chwała Bogu. Nasza lada chwila się sytuacja zmieni. I rzeczywiście. Przyjeżdża enkawudzista, oficer, i robi zebranie takie ogólnokołchozowe. Nie tylko dla nas, dla Polaków, ale... W jakimś takim... Były jakieś takie w Rosji takiego tam niby biura, nie biura, coś takiego. No i tam przychodzą te baby, tam paru, jakichś starszych chłopów no i oni mówią wyraźnie: [wypowiedź po rosyjsku, 00:21:47]. „Dostaniecie państwo specjalne zaświadczenia i właściwie jesteście w tej chwili zupełnie swobodnym... macie wtedy możliwość robienia co chcecie. Możecie pracować, ale możecie również nie pracować”. I tu wyraźnie powiedział: „Nie wolno ich pędzić do roboty. Jak będą chcieli sami pracować, proszę bardzo. Otrzymają tak samo ten pajok” i tak dalej... Pajok to zresztą żaden był, co zresztą mniejsza o to. Ale też parę słów powiem o tym. Natomiast wy jesteście zupełnie wolni. A przedtem jeszcze dano nam do zrozumienia, bo ja to zapamiętałem, że wy jesteście pod naszą kuratelą. I gdyby wam ktoś was próbował nieregularnie skrzywdzić czy coś takiego, to wy macie prawo odwoływać się do NKWD. Bo wy jesteście w naszej gestii. Więc ja przeczytałem jako jeszcze członek Zespołu Konsultacyjno-Doradczego do spraw Wydawnictw przy właśnie Głównym Urzędzie Kombatantów, miałem naprawdę dużo do czynienia, bo czy-

tałem właśnie rozmaite wspomnienia naszych, po prostu jako ten trochę znający się na tych sprawach. To było jeszcze za czasów oczywiście pana ministra Tylera. I mam z pewną skalę porównawczą. Bo bardzo uważnie czytałem, bo myśmy tam opiniowali, czy tam dofinansować dane wydawnictwo i tak dalej, to myśmy zrobili sporo dobrej roboty i ja uważam, że ja też miałem okazję przynajmniej coś czasami dobrego zrobić w tym względzie. I rzeczywiście ja uważam, że sporo ciekawych rzeczy się ukazało właśnie dzięki zasiłkowi tego naszego urzędu i naszej pracy, i naszych opinii, i czasami byłem zdziwiony, że właśnie w niektórych okolicach na przykład w ogóle nie powiadomiono o amnestii. I tu właśnie dla historyka jest wskazówka metodologiczna, jak dalece trzeba unikać, a jeżeli już naprawdę trzeba czasami dokonać pewnej generalizacji, pewnych uogólnień, to to robić z największą ostrożnością. Bo jeżeli na przykład ja powiem, że taka sytuacja była, że nas ten enkawudzista jakiś powiadomił, że słuchajcie, wy jesteście w naszej gestii i w razie gdyby tam miejscowe władze zachowały się wobec was niewłaściwie, to macie prawo się do nas odwoływać. Znaczący jesteście pod naszą kuratelą. I myśmy to jednak zapamiętali. I ja to mówię właśnie z taką... tym bardziej, że ja niejednokrotnie czytałem, że na jakichś takich zadupiach, za przeproszeniem, rzeczywiście odległych o jakieś tam 200, 300 czy 400 kilometrów od większych centrów, to tam był kompletny [niezrozumiałe, 00:25:34]. Znaczący tam te miejscowe władze robiły co chciały. I ci Polacy na przykład nie wiedzieli całymi miesiącami, że jest porozumienie Majski-Sikorski, że jest amnestia, że dostaliśmy te [niezrozumiałe, 00:25:51], czyli te zaświadczenia, i tak dalej, i tak dalej. Więc bardzo różne sytuacje mogły zdarzyć się. Czy to jakieś miejscowe, władze mogły tam zadziać w ten sposób, czy też były jakieś sugestie, że tak powiem, idące z Moskwy, z Łubianki, żeby tam jednak jakoś popuścić, troszeczkę poluzować w stosunku do nas, bo wojna. Więc oni już zaczęli przewąchiwać możliwe... Beria był inteligentny człowiek, więc być może też tak zorientował się, że trzeba już troszeczkę tam poluzować trochę tych Polaków. No a później rzeczywiście... No i myśmy po tym wszystkim... to te nasze panie jeszcze pracowały jakiś czas, bo było bardzo ciepło, bo wtedy już był tak zwany... oni zaczęli już, że tak powiem, bardzo dużo brać tych... bo po prostu kołchoz musiał wykonać plan. I tu nikogo nie obchodziło. Wszyscy dla frontu, wszyscy dla pabiedy. Więc dlatego też taki predsdatel, no to on drżał, że jeżeli on na przykład da więcej tego ziarna czy tej mąki za dniówkę, za tak zwany „truda dzień”, czyli za dniówkę, no to on nie wykona planu i zostanie, że tak powiem, potraktowany jako sabotażysta. To może dostać albo czapę, albo pójdzie do pierdła siedzieć. To była prosta sprawa. Zresztą po naszym wyjeździe z kołchozu, tam też paru tych przewodniczących się zmieniło, bo każdy z nich szedł do więzienia. Tam coś odkryli, że tam coś tam było, tam było, tam, siam, i tak dalej. Więc tam do więzienia trafić było absolutnie, jak nic, jakby splunąć. Szczególnie w stanie wojny. Natomiast te ostre miesiące, powiedzmy sobie, pierwsze miesiące wojny, spowodowały nieprawdopodobny chaos. I na tym chaosie można było coś niecoś, że tak powiem, ugrać, bo na przykład Polacy zaczęli się skrzykiwać i jechać na południe. Myśmy przede wszystkim chcieli wykorzystać, że tak powiem, czas ten i jak najszybciej dotrzeć do miasta. Znaczący przenieść się przed zimą, która nas trwożyła, przed zimą dotrzeć do miasta. Do miasta mieliśmy 30 kilometrów, więc niedaleko. Stosunkowo mieliśmy pewne szanse lepsze niż tamci, którzy mieszkali tam gdzieś, o 150 czy ileś tam... Kontaktów oczywiście z tymi naszymi Polakami myśmy nie mieli, bo to trudno było przecież, o jakąś tam wymianę adresów, czegoś takiego, przecież myśmy nie wiedzieli, gdzie nas rozrzucą. Pamiętam tylko taki jeden epizod, jak przyszły takie trzy panie, które tam szły z jakiegoś kołchozu, też szły w stronę tego naszego Aczyńskiego, bo niby to była duża stacja, i to miasto niby rejonowe, i oprócz tego to węzłowa stacja kolejowa była, to jak dziś pamiętam, taka pani jechała, Burdowa, pani Humpolowa, której mąż był bratem księdza Humpoli, a ksiądz Humpol był kapłanem pana prezydenta, profesora Ignacego Mościckiego. I ten właśnie ksiądz Humpol był przyjacielem no kogo? Ano spójrz do tyłu i zobacz na stryja Białenickiego,

Bierula. Oni się właśnie znali z Zakopanego. A jego właśnie brat, były lotnik, pamiętam, że miał połamane nogi i zajmował się trochę modelarstwem, też był chyba aresztowany, a jego żona właśnie, pani Hałaburdowa, i właśnie stryjenka tej naszej Lali Kaczmarskiej, one tam przyszły, tam u nas chyba nocowały nawet i tak dalej, i to było takie bardzo przyjemne, ja dlatego właśnie zapamiętałem, bo to była taka ni tego, ni z owego wizyta tych trzech pań, które zresztą bardzo dzielnie sobie jakoś tam poczynwały w tym kołchozie, no a czasami można było, jeszcze tam w okresie takim gorszym, jeszcze przed tym amnestyjnym, przed amnestią, można było czasami podejść do miasta, o tak, żeby troszkę tam właśnie, jak był tak zwany abos, to znaczy jak był transport na przykład zboża, który oddawał kołchoz państwu, przeważnie to była wielka uroczystość, więc jakiś transparent naszej krasnej armii i tak dalej, tam [niezrozumiałe, 00:31:05], jechało tam paru chłopaków, tych młodszych czy jakichś starców, ktoś tam rznął prawie na harmoszcze... I pamiętam właśnie, tutaj będzie taki jeden też taki trochę wzruszający epizod, który trochę zasygnalizowałem. Jedzie moja matka tam z nimi razem. No przyjeżdżają tam naturalnie, tam rozprysli się, niby ten konwój tego całego transportu, tam się rozprysł, matka w w każdym razie w tak zwanym „kałchoznym domu”. Kałchozny dom to był rodzaj takiego... o, dom chłopca, jak u nas na... tylko to jakaś tam... no gdzie tam jest taka knajpka, gdzie tam można herbatkę wypić, jakąś tam zupę zjeść i tak dalej, wtedy nawet jeszcze można było herbatę wypić i, zdaje się, nawet jakieś były, jak matka mówiła, nie wiem, jakieś szaniuszki były czy w rodzaju jakichś takich ciasteczek, nie ciasteczek, czy po prostu w ogóle była herbata i może nawet było do niej trochę cukru. To już był luksus. I matka siedzi, i sobie tam siorbie tę herbatę, czeka tam, aż oni tam pozałatwiają, wyładują, no i z powrotem. Tam jest sporo ludzi i tak dalej, no i siedzi taka para. I widać od razu, że on idzie na front. W sile wieku mężczyzna. I matka moja tak przygląda się im, oni siedzą obok przy stoliku, wpatrzeni w siebie tacy, widać, że przeżywają okropnie, i matka tak sobie patrzy, no też przecież parę lat już pozbawiona, że tak powiem... też bez męża, nie wiemy, co z tym ojcem jest, bo ojciec przecież po pobycie na Wilnie i na Litwie tej Kowieńskiej, w 1940 roku, kiedy zajęli Sowieci Nadbałtykę, no to też nie czekał, aż go tam dopadną, tylko przeszedł granicę tutaj koło Suwałki i trafił już do Generalnej Guberni, gdzie w końcu tam siedział w Warszawie i wyszedł tam z powstania warszawskiego, z Ochoty, 11 sierpnia 1944 roku, jakoś, chwała Bogu, ocalał. No ale nie wiemy, dopóki jeszcze tam jakaś korespondencja przychodziła... Oczywiście tam ojciec pisał jako tak zwana ciocia Józia. I tutaj można wtrącić taki jeden element stosunków polsko-żydowskich. Były taki... zresztą rzeczywiście, to ja już tym razem powiem normalnie, Żyd, kowal, który znany był w Nowogródku, Słowacz straszliwa, którego, zdaje się, mój ojciec, czy nie tylko, gdzieś posadził na jakiś czas. Czy to była jakaś sprawa... Czy jakieś bluźnierstwo, czy coś, w każdym razie... I on już w mundurze enkawudzisty któregoś razu zjawił się u nas, na ulicy Objazdowej, na której ty byłeś, bo nas oczywiście z kolonii urzędniczej... po paru tygodniach pobytu Sowietów, kazali nam opuścić to mieszkanie i tam taki pułkownik sowiecki zamieszkał, a myśmy tam wynajęli w takiej tatarskiej, że tak powiem, dzielnicy, to był tam taki domeczek, i stamtąd nas wywieźli. Trochę tam rzeczy pozwalało się i tak dalej. No i on któregoś razu przyszedł: „No i co? Pani mąż uciekł do hitlerowskich Niemiec”. Matka mówi: „Nie wiem, czy uciekł. Była ewakuacja sądu, jak pan wie, wiem, że był w Wilnie i na Litwie. A co teraz się z nim dzieje”... „Eee, to my wiemy, że on jest chyba w Warszawie” i tak dalej. Mówi: „Jeżeli pan wie, to w porządku, a ja o tym nie wiem”. I taka była rozmówka. Pamiętam, rozwalony siedział, w bardzo takim nowym, widać, bo takim szyneli siedział, i wyobraźcie sobie, że zdaje się, że ten skurwysyn chyba ocalał. On gdzieś uciekł, zdążył uciec, w 1941 roku, bo NKWD pierwsze oczywiście wiało, tak, wojsko zostawało, a ci uciekali, i zdaje się, że ktoś mi mówi, że on chyba jednak do tego Nowogródka wrócił. Ale tego nie jestem pewien. No mniejsza z tym, czort jego zabierz. Mam nadzieję, że on już dawno, że tak powiem, ziemię gryzie. No ale to taki właśnie mały taki przyczynek.

No ale ja nie buduję na tym swego stosunku do Żydów. Nie buduję na tym, absolutnie. Właśnie, że tak powiem, nasze stosunki się jakoś per saldo zbilansowały pozytywnie dla nas. No ale wracamy do tego „kołchoznego domu” i w tym wszystkim jeszcze siedzi jakiś facet i gra na harmonijce taką bardzo [niezrozumiałe, 00:36:29], więc taką bardzo ckliwą i łzawą piosenkę, zresztą bardzo ładną, o tym [niezrozumiałe, 00:36:39], znaczy tym, który umiera... [wypowiedź po rosyjsku, 00:36:46] Bardzo taka ładna jest melodia i tak dalej. I matka słucha tej muzyki, jakoś tak popada w taki rzeczywiście dość elegijny, że tak powiem, nastrój, no i zaczyna się rozmowa z tą parą, która siedzi. I oni tam coś pytają, więc matka mówi: [wypowiedź po rosyjsku, 00:37:10] No i jakaś taka miła rozmowa, miła rozmowa, miła rozmowa, i matka później, kiedy im opowiadała, też z dużym zawsze wzruszeniem mówiła o tym, mówi: „Wiesz ty co? Wtedy już ja poczułam, że ja chyba jestem po ich stronie. Że ja im dobrze życzę, żeby on wrócił. Żeby on wrócił do tej żony, żeby jemu się na tym froncie nic nie stało” i tak dalej. I proszę sobie wyobrazić, że rzeczywiście matka, pamiętam, kiedyś mówi do mnie: „Wiesz, spotkałam na bazarze, tę kobiecinę, którą w 1941 roku, jeszcze jak mieszkaliśmy w kołchozie, to wtedy spotkałam ich tam, w tym »kołchoznym domu«. Ty wiesz, że jej mąż wrócił?”. Ranny, nie ranny, tam bez nogi, bez ręki, wszystko jedno, ale wrócił. Więc taki właśnie mały przyczynek.

Monika Kurkiewicz: A jak się udało państwu do miasta przenieść?

Henryk Bułhak: I wtedy, kiedy już to wszystko zaczęło się robić... kiedy można już było ruszać się zupełnie swobodnie i tak dalej, to piechotą, to jakimiś tam okazjami i tak dalej, matka jest, z grupą zresztą tamtych naszych też Polaków, tych różnych pań i tak dalej, ruszyła do miasta. A tam się już działy rzeczy niesamowite. Bo tam zaczęły już napływać... ewakuowani, rozmaite szpitale, cholera, jakieś szkoły wojskowe tam z Ukrainy, była taka szkoła kijowska, [niezrozumiałe, 00:38:53] uczyli, jeszcze przyjechało z rodzinami, ewakuowali się tam, no i matka w rezultacie... A to już jest październik. I pamiętam pod koniec października wypadł pierwszy śnieg. A my siedzimy w kołchozie, robi się coraz zimniej, palimy w tych tam piecach, takie mamy piece te nieszczególne, jak się pali, pali, pali, to jeszcze ciepło, jak się przestaje palić, hajcować, to robi się w tej chałupie zimno, no i w rezultacie myśmy gdzieś tak bodajże 28 października... jakoś tam udało się matce wykombinować ciężarówkę, żeby całą tę grupę zabrać już jednym... A nie wolno ciężarówką sobie tak szwendać się. Też ten ktoś, kto tam jechał, ten szofer, mocno się narażał. No ale to 30 kilometrów, ale 30 kilometrów, no przecież po normalnych polnych drogach, prawdę powiedziawszy, przecież nie po jakiejś szosie. No i pamiętam, wtedy myśmy tam przyjechali do tego i też tak samo, już taki ten skok cywilizacyjny, tam było, w kołchozie, głodnawo, bywało naprawdę tak, że to człowiek chodził po tej chałupie i tak patrzył, gdzie co jest, czy tam jakiś kawałek skóry nie został, czy czegoś tam, czy jakiegoś kartofla, czy czegoś takiego. Rzeczywiście szło do kołchozu, tam się wypraszało o jakiś kawałek chleba, bo oni niby zobowiązani byli nam co jakiś czas ten pajok dawać jakiś, to czasami pół tego bochenka się dostawało, czasami zaczęliśmy już sprzedawać to, cośmy tam mieli, jakieś drobiazgi a to serwetka, a to, no nie wiem, jakaś może bluzeczka, coś, to wszystko chętnie kupowali. Nigdy nie zapomnę, była taka szalenie miła niewiasta, malakanka, czyli mleczarka, która zajmowała się tam dostawą tego mleka też do miasta i tak dalej. I ona miała, bo w kołchozie jednak oni mieli ogródki swoje, mieli tak zwane działki przyzagrodowe. To zawsze było trochę tam tych kartofli, jakaś tam marchewka, takie rzeczy. I pamiętam, ta malakanka była strasznie sympatyczna, najczęściej była pocztynionką, listonoszką, tak że i przywoziła gazety, i mleko woziła, i tak dalej. No i ona któregoś mówi, że ja ciągle jestem zajęta, a tak straszliwie u mnie zarosnięty jest ogród. Może byście przyszli wypleść nam ogród? No więc matka naturalnie: „To, Heniek, idziemy”. I ja

pamiętam, że ja wtedy rzeczywiście, zacisnąwszy ręce, rwałem wtedy jakieś osty, że tak powiem nie czując sprawie bólu, a była to rzeczywiście zapuszczona... o, takie pokrzywiska okropne, bez żadnych tam rękawic i tak dalej, no ale rzeczywiście wyplęliśmy wspaniale i wtedy, pamiętam, ja jadłem też najsmaczniejszą zupę pod słońcem, mianowicie to była taka zupa jarzynowa, która... marchewka, jakieś tam... bo coś tam było. Na pewno nie było kalafiorów i tak dalej, tam była kapusta, tam była marchewka, tam była kartofla i, zdaje się, był groch. Ale to było zaprawione, no jako że malakanka, więc mleczarka, więc to było zaprawione śmietaną i było wstawione w tym takim czutunio, w takim garze takim żeliwnym, wstawione było do tego rosyjskiego pieca. Więc ta zupa, to wszystko było takie niesłychanie treściwe pod względem ilości tej czystej śmietany i tak dalej. No i jak ona postawiła ten gar i dodatkowo jeszcze chleb do tego był, to ja tę ucztę będę pamiętał do ostatnich chwil życia. Jedna z najwspanialszych uczt, jakie ja w ogóle miałem w życiu. No a tutaj już coś niecoś można było w tym mieście kupić. Już coś niecoś. Czasami trzeba było pójść na przykład na stację, tam coś było, jakieś tam szaniuszki jakieś tam... to wszystko to jeszcze był okres przedkartkowy. Tam na przykład się zdarzało, że można było czasem dostać jeszcze i białego chleba. Biały chleb. A biały chleb na Syberii to już była, że tak powiem, bardzo wytworna rzecz. W końcu, jeżeli cokolwiek było, to raczej żyto było, a nie pszenica rosła tam. I teraz dalej, tak, tutaj może być taki duży skrót, no cóż, mamy, że tak powiem... No co robić? No więc tak, nie pracujemy, ale głównie trudnimy się sprzedawaniem, takim cyrkaniem różnych rzeczy. Tu to, tu tamto. Tu matka pójdzie na bazar, coś sprzeda, tu tego, tu nam troszkę wystarczy i tak dalej. Sąsiedzi zachowują się wobec nas bardzo sympatycznie, niektórzy. Była taka sąsiednia rodzina takich... jakże się nazywa... Kuznicowów, bardzo sympatyczna, której zresztą syn właśnie nas przywiózł tą ciężarówką, bo był szoferem, a jeszcze był w takim wieku, że go jeszcze nie wzięli do wojska. I też mój taki Wasia był, bardzo miły też, tak samo taki mój rówieśnik, bardzo sympatyczny chłopak, daleki w ogóle od tej takiej chuliganerii miejscowej. No zaczyna się zima, zaczynają się mrozy i tak dalej, trzeba tam jednak kupować te... znaczy wynajmujemy matę taką izdebkę, pokoik w takiej chałupie, taki tani, Berkel, której mąż był podoficerem, ale był w tej armii dalekowschodniej. Musiał to być jakiś bardzo dobry instruktor, jeżeli jego cały czas, przez całą wojnę, nie wzięli na front. Chyba, że on później wziął udział w tej kampanii mongolskiej, którą w 1945 roku... przeciwko Japończykom. Tam być może on trochę prochu powąchał. Ale w każdym razie ja cały czas, jak tam czasami dowiadywaliśmy się, to ten Berkel... On zresztą nigdy nie przyjechał, ja go nigdy nie widziałem tam w Aczyńsku, a ta jego żona siedziała z dwiema córkami, czy to były trzy takie małe dziewczynki zupełnie, i myśmy tam mieszkali, ona była chamowata, ta Ania Berkel, i pamiętam, że kiedyś w jej wykonaniu widziałem takie bicie dzieci, które mogłyby że tak powiem poruszyć do głębi całą Fundację Helsińską. Poszła kiedyś ta Ania, wyszła gdzieś tam, do jakiejś kolejki, bo zaczęły się te kolejki, tam już i po chleb, i tamto, i tak dalej, i to już był chyba jakiś, nie wiem, grudzień czy nawet... no tak, gdzieś tam mniej więcej chyba grudzień, i za nią wybiegła, ubrawszy się, co prawda, ta dziewczynka jej starsza, Szurka. Ona mogła mieć jakieś sześć lat najwyżej. My chcieliśmy tam zatrzymać i tak dalej, „Nie, ja za mamą pobiegnę”, i pobiegła. Po pewnym czasie przychodzi ta Ania: „A gdzie Szurka?”. No mówimy: „Szurka pobiegła za tobą”. [wypowiedź po rosyjsku, 00:47:07] Mówię, pobiegła, bo ona powiedziała, że ponieważ ty stoisz tam w tej kolejce, to ona pobiegła. [wypowiedź po rosyjsku, 00:47:16] „Zamarźnie tam”. A jest już noc, ciemno jest, w końcu grudzień, to już jest 5:00 godzina czy tam 6:00, wszystko jedno, jest ciemno. Pobiegła, ta Ania rzuciła się tam, poleciała, nie było chyba jej z godzinę i w pewnym momencie drzwi się otwierają, w drzwiach staje ta Ania, a baba też zdrowa, wysoka i tak dalej, i rzuca jak tłumok tę swoją córkę na środek tej izby. I jak dziś pamiętam te dwa słowa: „Zamiorzła, bliat”. I ona rzeczywiście ją zastała gdzieś tam pod płótem, zabłądziła dziewczyna, wyszła, że tak powiem, na tym paciołku, ciemno jak cholera, zabłądziła i tam coś...

I później ona zaczęła ją okładać polanem, tak jak leżały polana pod tym, że tak powiem, piecem. Babunia moja, znaczy babcia, tam próbowała ją jakoś zatrzymać, to ona ją odrzuciła, zdrowa baba była rzeczywiście, babcia też była zdrowa, ale przecież to młoda kobieta. Ona ją tak stłukła, że ta już przestała nawet... darła się oczywiście, ale ona w końcu straciła głos zupełnie. Znaczący ona zdarła z niej ubrania i tak dalej i stłukła ją w sposób straszliwy zupełnie, waląc łbem o podłogę, i w końcu, jak dziś pamiętam, jak złapała ją też tak jak tłumok i wrzuciła na ten piec rosyjski. I z tego pieca, z tej ruskiej pieczki, to ona zeszła, jak dziś pamiętam, chyba dopiero na trzeci dzień. Spełznąć już potrafiła. Tak ona była potłuczona. I nie dostała kataru. Więc ta terapia spowodowała widocznie... To straszliwe bicie, spowodowało widocznie taki szok organizmu, że... A tak taka dziewczynka mogłaby po prostu dostać zapalenia płuc i tak dalej i koniec. No a niestety właśnie zapalenie płuc nie udało się uniknąć mojej babce. O tym ja już nie będę mówił, bo to dla mnie bardzo ciężka jest sytuacja, ale w każdym razie mogę tylko tyle powiedzieć, babcia zachorowała 6 stycznia, skoczyła gorączka nagle i tak dalej, no i wywiązało się zapalenie płuc. Z lekarstw co? Wykrztuśny środek. Pod nazwą „Ciokol”, jak dziś pamiętam. Lekarza... Prawie na lekarstwo nie ma. Bo już przecież przychodzą transporty rannych, szkoły są już zamienione w szpitale i ci lekarze, którzy tam byli, całutki czas są zajęci, dniami i nocami siedzą w tych szpitalach. Co tam się robi, to trudno powiedzieć, bo wszystko się odbywa nocą, transporty nigdy... jeden raz... A mieszkaliśmy tam parę lat na stacji. Aha, muszę tu powiedzieć, że myśmy przenieśli się na razie nie do samego miasta, Aczyńska, tylko do takiego pasiołku, czyli takiego osiedla przystacyjnego. A Aczyńsk miał dwie stacje. Jedną leżącą bezpośrednio na linii transsyberyjskiej, a druga, tak zwany drugi Aczyńsk, była na linii, która odchodziła w stronę, nazwijmy to Mongolii i Hakasji, na miejscowość, która się nazywała Abakan, Minusińsk. 400 kilometrów, taka tak zwana wietka, czyli odgałęzienie takie. I tam też leżała ta stacja Aczyńsk drugi. I my nie mamy ani lekarza... W końcu jakoś udało się ubłagać lekarza, który był chirurgiem, właśnie z tej miejscowości Kre- mieńczuk, był chirurgiem wojskowym, jak dziś pamiętam, nazywał się Stawczański, prawdopodobnie również rodak Chrystusa Pana, bo to takie nazwisko... Stawczański i tak dalej to są nieraz takie żydowskie nazwiska, na Ukrainie i tak dalej, niekoniecznie są, no ale bywają. Miał córkę, taką parę lat, chyba jakieś dwa-trzy lata, ode mnie starszą, bardzo ładna dziewczyna, jak dziś pamiętam, bardzo ładna i bardzo taka atrakcyjna była dziewczyna, no i oni uważali nas, że to też inteligencja i tak dalej, no i ta żona tego Stawczańskiego nawet troszeczkę zawsze tak troszkę, tego, że ja niby... A ja już zaczynałem mówić po rosyjsku, ale takim trochę już żargonem raczej ludowym, co zresztą bardzo dobre dla mnie było w końcu, bo ja dlatego poznałem bardzo dobrze rosyjski od jego głębszych podkładów ludowych i tak dalej, ale czasami to trochę raziło, bo to nie była literacka ruszczyzna. I pamiętam, że raz czy dwa ten Stawczański zdołał jakoś wpaść do babci, tam usłuchać i tak dalej, no i co, i matka pamiętam, że jakieś miała, nie wiem, skąd mama miała, jakieś te ampułki z kamforą. I robiła tego sama zastrzyki babci, z tej kamfory, które podtrzymywały serce. W związku z tym babcia się borykała aż dwa miesiące z tą chorobą, która się w końcu rozwinęła w tak zwany absces, czyli tak jakby rzut płuc. No tam musiało to zapalenie przybrać jakiś bardzo taki ostry, widocznie ropny jakiś przebieg. Jedyna rzecz, to już później, pod sam koniec, to myśmy... już trzeba było babcię, że tak powiem, trzymać pod tlenem udało się nam skombinować butlę, znaczący nie butlę, tylko taką poduszkę, a tlen nabijało się... Gdzie się nabijało tlen? Nabijało się w parowozowni. Ponieważ na naszej stacji była parowozownia i tam w związku z tam jakimiś spawalniczymi pracami musiał być tlen. I oni nam nabijali ten tlen. Babcia zmarła na moich rękach zresztą. A myśmy właśnie wtedy już mieszkali... Myśmy się musieli rozdzielić, myśmy mieszkali właśnie z tą panią starszą, tą, o której mówiłem, panią Heleną Woronowiczową, której główną zbrodnią, wobec oczywiście władzy sowieckiej, było to, że ona była właścicielką trzech domów w Nowogródku, a więc była tak zwana [niezrozumiale,

00:54:13], czyli kamienicznica niejako, znaczy domki oczywiście były drewniane, ale tam niemniej... a poza tym miała trzech synów. I wszyscy synowie byli oficerami, i wszyscy walczyli z Niemcami. Najmłodszy, Romek, w 1939 roku wrócił ranny, podporucznik, wrócił ranny, kulejący, do Nowogródka, średni, Edward, zginął w 1939 roku, a najstarszy, kapitan i dowódca kompanii łączności w 1 DPL, czyli Pierwszej Dywizji Piechoty Legionowej w Wilnie, który później był odkomenderowany do grupy pułkownika... Mniejsza z tym. „Kotwica”, tam na południu, to była jakaś kopowska grupa, wylądował w rezultacie jako major łącznościowiec u „Maczka”. I jego właśnie, Wacka, odwiedzałem w 1961 roku w Londynie. Zresztą też tak samo, bardzo miły pan. Więc trzeba było staruszkę pokarać. A ten właśnie najmłodszy syn był zakochany w młodej... swojej narzeczonej. I ta narzeczona, zamiast powiedzieć mu: „Romek, wiej, podkuruj tę nogę i wiej”... A jego już parę razy zaproszono na rozmówki do NKWD. I za każdym razem go wypuszczano po krótkiej rozmowie. On siedzi. Jest mama, jest narzeczona, on siedzi. No i za trzecim czy za którymś razem poprosili już go na [niezrozumiałe, 00:56:10]. Do dziś nie wiadomo gdzie zginął. Nie wiadomo. Gdzieś się rozpułnął. Być może zginął, nie wiem, pod tym Kijowem, teraz to nieraz jakieś nowe groby odkryli.

Michał Kurkiewicz: W Bykowni.

Henryk Bułhak: O, w Bykowni. Może w Bykowni. Może gdzieś go zesłali. No w każdym razie zniknął. I ta narzeczona ja wiem, że później pisała nawet... chyba nawet pisała z Nowogródka do nas tam, na Syberię jeszcze i ciągle czekała tego Romka i tak dalej, a w gruncie rzeczy, gdyby ona była może bardziej stanowcza i powiedziała, Romek ty mimo wszystko... jak spotkamy się, to się spotkamy, a ty przynajmniej wiej. Przecież tak było z moim ojcem. O czym nie mówiłem. W 1939 roku, kiedy Sowietci oddali Wileńszczyznę Litwinom, spotyka mama w Nowogródku znajomych Izraelitów, może to był jeden, może... „O, pani sędzino, my pana Sędziego spotkaliśmy w Wilnie”. Matce wszystkie włosy stanęły dęba. „My mówimy, panie sędzio, pan był taki sprawiedliwy człowiek, na pana nikt złego słowa nie powie. Niech pan wraca. Niech pan wraca do żony, do synka”. Więc jak matka to posłyszała, to postanowiła natychmiast jechać do Wilna, żeby broń Boże ojciec nie zrobił tego strasznego głupstwa i nie wrócił do Nowogródka. Bo już przecież aresztowano, już były areszty, to wszystko się dzieje pod koniec 1939 roku, jeszcze przed wywozami, ale już aresztowania są. Tego złapali, tamtego złapali, tego aresztowali. Aresztowali na przykład tego mego dziadka właśnie rodzonego, matki ojca, aresztowali tego właśnie wujka, o którym wspominałem, tego dublańczyka, i kto uratował tych dwóch panów? A uratował Żyd, As. I też to nazwisko będę pamiętał do końca życia. Piekarz, u którego oni brali chleb. To się mówiło, że, „O, a ty u kogo bierzesz? A tam ja u Lubczańskiej. A ja ubiorę u Asa”. A pieczywo żydowskie było najlepsze na świecie na pewno. Na pewno żaden z was nie będzie jadł takiego dobrego pieczywa, jakie ja jadłem w dzieciństwie. I rzeczywiście, naprawdę. Oni byli mistrzami jeżeli chodzi o wypieki i tak dalej. Każdy miał swoje pomysły i swoje tajemnice zawodowe, i tak dalej. I o co chodziło? Jak można było wyrwać z rąk NKWD dwóch panów, na których był jakiś donos i było wiadomo, kto ten donos zrobił? To był taki fajdak, który chciał się od razu, jak to się mówi, podliznąć Sowietom. No podliznąć się najłatwiej jest, robiąc donos. Był taki Hardziej nazwisko. I ten Hardziej, nie wiem, czym on się zajmował, prawdopodobnie takimi jakimiś, bo ja wiem, interesami może, to była jakaś taka podrzędna zupełnie indywidualność, ale chyba tam może dziadek, może go coś kiedyś... może go rugnął czy coś takiego. Jednym słowem, dosłownie na drugi czy na trzeci dzień po przyjeździe Sowietów, on przyszedł z jakimiś tam paroma milicjantami, już z czerwonymi tymi, i ich aresztowali, znaczy dziadka, i tak dalej.